

Znajdź

Przeszukaj Encyklope

Przejdź | Szukaj

Encyklopedia

Strona główna
Redakcja
Kontakt

ES w mediach
Linki

Działy
Ludzie
Regiony
Struktury
Wydarzenia
Prasa
Kalendarium
Varia
Dokumenty
Dodatki
Relacje
Wirtualna Czytelnia
Bibuly

LOPEDIA SOLIDARNOŚCI

Tylko w Internecie.

Relacja Zbigniewa Hira

Spotkanie z Konfederacją Polski Niepodległej i zaangażowanie się w działalność na rzecz Niepodległości, zawdzięcam przede wszystkim mojej Babci. To ona przekazywała mi wiedzę o najnowszej historii Polski, od niej dowadywałem się o rzeczach, o których w szkole nie można było w czasach mojego dzieciństwa nawet ukradkiem wspominać. Dorastałem w latach siedemdziesiątych na ziemiach odzyskanych, a konkretnie w Jeleniej Górze. Rodzina pochodziła z Wilna, a ojciec nie zdążywszy na wyjazd z Rosji wraz z Armią Andersa, wstąpił do berlingowców, po wojnie służył w KBW skąd trafił do milicji. Z ojcem nie rozmawiałem na te tematy, a ponieważ chętnie przysyłałem wszystko co mi przekazywała babcia, nie raz z tego właśnie powodu dochodziło między nimi do konfliktów. Pamiętam dokładnie jak w wieku dziesięciu lat dostąłem od Babci papierową chorągiewkę z orłem w koronie. Była to autentyczna przedwojenna flaga, cudem jakimś przechowana przez zawieruchę wojennej i kolejne lata komuny. Bardzo ucieszyłem się z tego prezentu, ale niestety wybuchła w domu niemała awantura, gdyż ojciec obawiał się, że ja może zechcę pochwalić się nią przed kolegami, albo co gorsze, pójść na pochód pierwszomajowy. Dzisiaj wspominając tę sytuację, oceniam także czasy w jakich wtedy żyłem.

Wszystko co mówiła mi babcia intrygowało na tyle, że już za młodu zainteresowałem się historią. Pamiętam szkolne lekcje z przedmiotu nazywanego wychowaniem obywatelskim. Zadawałem na nich pytania o 17 września 1939, Katyń, wywózki na Sybir. Oczywiście o tych wszystkich sprawach dowadywałem się w domu, a pamiętam jak bardzo kłopotliwymi okazwały się te pytania dla moich nauczycieli. Także dla mojego ojca, który nie chciał mi nic o tamtych czasach mówić. Przed wojną miał trzech braci, którzy wraz z moim dziadkiem zostali na Wileńszczyźnie, kiedy jego wraz z moją babcią Sowieci wywieźli na Syberię. Po wojnie pomimo poszukiwań przez Czerwony Krzyż nie udało się nikogo z nich odnaleźć. otrzymałem od babci patriotyczne wychowanie pewnie dlatego, że losy mojej rodziny zostały tak mocno związane z najnowszą historią Polski. Dzięki niemu nie przyjmowałem tego całego panującego wtedy zakłamania i byłem w pewnym sensie odporny na fałsze komunistycznej propagandy W miarę dorastania, już nie tylko w domu dowadywałem się powszechnie ukrywanych faktów z najnowszej historii.

Wspominam w tym miejscu znajomego z ogródków działkowych. tak samo jak i mój ojciec milicjanta, którego zycions nadawaliśy się pewnie na scenariusz opowiadającego o paradoksach dziejowych filmu. Pan, jeżeli dobrze pamiętam – Ponikowski został zesłany przez Sowietów na Syberię, uratował się wstępując do Armii Polskiej generała Andersa, walczył pod Monte Cassino, a po powrocie do kraju wstąpił do wojska i jego kariera musiała rozwijać się bez większych problemów, gdyż w czasach, o których mowa, był oficerem – dowódcą kompanii ZOMO. Ponieważ był najbliższym sąsiadem przez siatkę, widywałem go dosyć często, praktycznie za każdym razem kiedy spędzałem czas w naszym ogródku działkowym. Od wczesnego dzieciństwa przysłuchiwałem się rozmowom starszych, tzn. tego właśnie działkowego sąsiada i ojca. Obydwa frontowy, z tym że każdy walczył na innym froncie, a ich relacje były dla mnie, można by powiedzieć, żywymi lekcjami historii. A poza tym jakiego chłopaka nie interesowałyby wtedy wojna? Miałem o tyle lepiej od moich rówieśników, że mogłem dowiedzieć się od nich znacznie więcej niż z książek czy też filmów. Trwało to wszystko do pewnego tragicznego wydarzenia. Otóż temu człowiekowi podczas jakiejś libacji w kasynie milicyjnym koleczy, być może dla żartów, schowali broń służbową. A on nie mogąc jej odnaleźć, z magazynu pobrał kolejną sztukę broni, tylko po to żeby strzelić sobie w głowę. Zrobił to na działce, więc dokładnie o wszystkim się dowiedziałem. Miałem wtedy kilkanaście lat i chyba po raz pierwszy dowiedziałem się co to jest oficerski honor. Sytuacja o jakich czytałem w książkach zdarzyła się tuż obok mnie i nie ważnym było, że ten człowiek był milicjantem. Dla mnie był przede wszystkim oficerem.

W 1978 lub 79 roku trafiam na Rekolleksje Wielkopostne w moim parafialnym kościele i przyznam, że kazania księży je prowadzących naprawdę otworzyły umysł, a chyba bardziej też oczy na otaczającą, tak bardzo szarą i ponurą i rzeczywistość. Nie pozostawiały żadnych złudzeń co do tego, że ten system pozwala żyć jak wolnym ludziom. Jeden z księży szczególnie akcentował te tematy i przyznam szczerze, że tamte słowa o godności człowieka itp. w jakiś sposób zapaliły do działania. Razem z kolegą Zbyszkciem Cwikłą, razem z którym słuchałem tych rekolleksji zaczęliśmy szukać kontaktów z opozycją. Oczywiście o istnieniu i działalności Konfederacji Polski Niepodległej i KOR-u dowiedziałem się z Wolnej Europy, zresztą cały czas, od 17 roku zycia słuchałem jak to wtedy oficjalnie je nazywano - polskojęzycznych rozgłośni. Nie dostrzegałem jakichś większych różnic pomiędzy KPN i KOR, ale to słowo „Niepodległej” w nazwie Konfederacji bardziej chwylało za serce, więc nie miałem wcale trudnego wyboru. Zorganizowałem grupę myślących podobnie do mnie młodych ludzi. Nazwisk dokładnie dzisiaj nie pamiętam, ale na pewno w jej skład wchodził wspomniany już Zbyszek Cwikła. Wydrukowaliśmy ulotki, które zostały przez nas rozrzucone podczas Święta Bozego Ciała 1980. Ich treści dokładnie teraz nie przytoczę, ale było w niej coś o odzyskaniu niepodległości, wyzwoleniu się z pod dominacji sowieckiej itp. Jednym słowem rzucaliśmy się z motyką na słońce, ale dla nas ważny był sam fakt zaistnienia, no i byliśmy ciekawi odbioru przez mieszkańców Jeleniej Góry. Sto sztuk porzepsisywanych na maszynie ulotek rozrzuciliśmy podczas procesji, która przechodziła od parafii p.w. św. Pankracego do kościoła Garnizonowego i tam właśnie na sam koniec uroczystości poszły one w górę. Nie było czasu na oglądanie, czy wszystkie zostały pozbierane przez ludzi, gdyż trzeba było śmiałać szybko zmykać. Zaraz po tej naszej pierwszej akcji nawiązałem kontakt z niezbytym już dzisiaj Krzysztofem Tularem działaczem KPN. Było to na pewno przed sierpniem 1980 roku. U niego w domu, w obecności chyba 10 osób zostałem zaprzysięzony jako członek KPN, ale na legitymację Konfederacji jakoś nigdy się nie doczekałem. Miały przyjeźć z Wrocławia, ale nie przyszły, a później wybuchł sierpień i przez cały okres Solidarności, a tym bardziej po ogłoszeniu stanu wojennego takimi formalnościami nikomu już nie zwracałem głowy.

W czasie „Karnawału Solidarności” było nam oczywiście dużo łatwiej prowadzić działalność pod szyldem Konfederacji, ale pamiętam też niechęć jaką darzono nas w Zarządzie Regionu. Bywałem tam często i przyznawanie się do przynależności do KPN powodowało ze strony wielu działaczy, dyplomatycznie rzecz ujmując, niemałe uprzedzenie. Ludzie z Solidarności traktowali nas po prostu jak ekstremistów i przypuszczam, że ta atmosfera podejrzliwości wynikała z silnych wpływów KOR-u na tamtym terenie. Nasza działalność polegała wtedy przede wszystkim na kolportażu i malowaniu hasel. Można powiedzieć, że panowaliśmy wtedy na murach tego miasta. Z tego okresu utkwił mi w pamięci wiec z udziałem Lecha Wałęsy. Lechu objeżdżając Polskę zawitał do Jeleniej Góry i ciekawością nie był sam wiec, który okazał się chyba największym zgromadzeniem w historii miasta, ale wcześniejsze spotkanie w Zarządzie Regionu. W jego trakcie poruszaliśmy sprawę Stanisława Ciośka ówczesnego pierwszego sekretarza PZPR w Jeleniej Górze. Jego rządy odznaczały się strasznym nepolyzmem, popełnił wiele nadużyć, a nazbieraliśmy 19 tomów akt i chcieliśmy wpłynąć na Wałęsę, aby wspomógł akcję w celu odwołania go. Na to przewodniczący zaoponował twierdząc, iż: Ciosek mi je z ręki i to jest mój człowiek. Wtedy szokowała nas taka deklaracja, a trzeba było upływu kilkunastu lat abym mógł poznać prawdziwe znaczenie tamtych słów. Nie zacytowałem może tych słów dosłownie, ale zachowałem na pewno ich kontekst.

Aktywność o której wspominałem nie do końca wyczerpywała nasze możliwości. Podejmowaliśmy też inne akcje. Jedną z nich było ustawienie Krzyża Katyńskiego w Święto Zmarłych 1980 roku. Umieściliśmy go na Cmentarzu, ale pamiętam, że nie postał tam długo bo zajęli się nim niemal natychmiast jacyś nieznanzi sprawcy. Później wzięliśmy na celownik pomnik wdzięczności dla Armii Czerwonej tzw „Iwana”. Stał on na placu w centrum Jeleniej Góry i przedstawiał ruskiego sokdta, któremu wręcza kwiaty mała dziewczynka. Na tego Iwana przygotowaliśmy się lepiej niż do wszystkich innych „malowanek”. W mojej pracowni fotograficznej spreparowaliśmy wydmuszki, z naprawdę mocną bronią w naszych rękach jaką okazała się farba okrętowa. Nie pamiętam dzisiaj, kto ją zorganizował, ale pamiętam efekty jej działania, gdyż odwiedzenie przystrojonego przez nas pomnika było punktem obowiązkowym dla prawie wszystkich uczestników niedzielnych mszy w jeleniogórskich kościołach. Akcję wykonałiśmy w nocy z soboty na niedzielę, mając nadzieje na to, że władzom w dzień powszedni trudno będzie zorganizować czyszczenie i naszą robotę zobaczy jak najwięcej ludzi. No i tym razem na władzy się nie zawiedliśmy. Iwan jeszcze przez cały poniedziałek stał cały laciaty, a na cokole widniała kotwica „Polski Walczącej”. Calokształt wyrażał nasze, delikatnie rzecz ujmując nieprzychylnie uczucia wobec Armii Czerwonej i Związku Radzieckiego. Jednym słowem mocno ugodziliśmy w sojusze, ale na pewno jeszcze mocniej farba wzrała się w kamień, bo nie wystarczyło im tego pomnika wyczyścić, ale musieli zdzierać dosyć grubą warstwę. „Iwan” został zasłonięty rusztowaniem dopiero w nocy z poniedziałku na wtorek i jak w mieście mówili, po to żeby przywrócić mu naturalny wygląd przyjechała jakaś specjalistka z Wrocławia. Komentatorze oglądających nasze dzieła ludzi, były w przeważającej większości przychylnie, a większość z nich przy tej okazji wieszczyła nadzieje jakiejś wojny. Oczywiście oficjalne media bardzo ostro potępily nasz wyczyn nazywając go aktem wandalizmu, profanacją, bezczeszczeniem pamięci, szarganiem świętości no i naturalnie godzeniem w sojusze. Poza tym w gazetowych relacjach przebił się ton zadziwienia. Zadawano pytania dlaczego w najbardziej reprezentacyjnym punkcie miasta, w sąsiedztwie postoju taksówek, dwóch banków, Rady Narodowej, siedziby ZSMP i czynnej do późnej nocy restauracji absolutnie nikt nie dostrzegł sprawców? Po prostu jak w komedii - nikt nic nie widział, nikt nie słyszał. Ktoś może nas dojrzał, ale staraliśmy się zrobić to nie zwracając zbytniej uwagi. Podzieliłsiśmy na trzy grupy. W pierwszej byłem ja wraz z Heniem Czosnowskim, a zajęliśmy się namalowaniem na cokole „Kotwicy” - symbolu Polski Walczącej. Pozostałe dwie grupy z pewnej odległości obrzucały Iwana wydmuszkami z farbą. Oczywiście ubecja rozszalała się tropiąc sprawców.

Niestety szybko wszystkiego się dowiedzieli, gdyż jeden z naszej grupy pękł. A chociaż wiedzieli, to jednak nie mogli udowodnić bo ten człowiek na konfrontacji, po moim spojrzeniu głęboko w oczy nie potwierdził tego co wcześniej zeznawał. Pozostali trzymali się lepiej i jeszcze niedługo ran stawali na wysokości zadania. Ludzi tych w większości znałem od dosyć długiego czasu, pochodzili z większości z mojego sąsiedztwa, a dzielnica w której mieszkąłem cieszyła się opinią lekko zakazanej. Jednak im w przeciwieństwie do większości nie wystarczyło wypite w bramie wino. Chcieli być aktywni, a ta nasza grupa aktywność zapewniała. Nie mieliśmy łatwo, gdyż jak już wspominałem nie byliśmy za bardzo lubiani przez jeleniogórską Solidarność. Skoncentrowaliśmy się na murach i tak właściwie prawie każdego dnia zaznaczaliśmy na nich obecność KPN na ha, ha! – Ziemiach Odzyskanych. Mam taką słynną ściankę, na której z systematycznym uporem malowałem KPN na tym samym miejscu, na którym zamalowano poprzedni napis KPN. Trwało to wiele miesięcy i sam nie wiem ile warstw farby na nie się zebrało. Pamiętam, że miałem w domu malowanie, a przy malowaniu, wiadomo zawsze jest dużo tarty, to też nie chciałem, aby się marnowała i zużyłem ją we właściwy sposób na tej ściance. Jakis czas potem do domu wpadli esbecy i zabierają do analizy farbę z malowania, niby celem porównania. No i mówią, że jak się potwierdzą ich podejrzenia to mam pudło pewne, gdyż tą farbą ciągle dokonuję strat znacznej wartości. Rozeszło się to, na całe szczęście, po kościoach, a myślę, że to zasługa oja chociaż on nigdy nie przyznał się do żadnej pomocy w tej sprawie. Znacznie wcześniej wstawił się za mną i unikałem powaznych konsekwencji, kiedy z kolegami dokonałem szczeniackich i przynajnę dzisiaj, bardzo głupich wybryków. Wtedy korzystając z statusu i możliwości jakie posiadał za komunę pewnie każdy milicjant, wybawił mnie z kłopotów i myślę, że tym następnym razem było tak samo. Nie zapomniał nigdy przerazenia jakie widziałem na twarzy ojca kiedy w domu zjawili się esbecy. On ponad pięćdziesięcioletni sierżant, frontowiec niemal kajał się przed młodymi oficerami „cywilami”. Pomyślałem wtedy, że musiał komo na Syberii oberwać jeżeli po tylu latach ma przed nimi taki respekt.

Po kilkunastu miesiącach względnego luzu, nadszedł stan wojenny. Nawet nie pamiętam, czy tego dnia było zimno chociaż wiele godzin spędziłem na dworze. Bardzo późnym wieczorem, albo nawet już po północy przyszła do nas siostra Krzyska Tularza mówiąc, że został przed chwilą aresztowany. Była roztrzęsiona, opowiadała o wyważonych drzwiach. Pierwszą reakcją było zadzwonienie do Zarządu Regionu „S”, bo tam mieliśmy telefon alarmowy. Telefon domowy nie działał, te w budkach telefonicznych położonych koło domu również były gluche. Poszedłem więc na miejsce, do którego nie mogłem się dotzwonić. Zobaczyłem budynek w którego każdym oknie paliło się światło, a przed nim kilka samochodów. Trochę mnie to zdziwiło, ale zdarzało się już, że w nocy bywali w nim działacze i interesanci, więc bez obaw wszedłem do środka. A tam pełno kręcących się po korytarzach nieznanych mi ludzi, ale tak naprawdę zorientowałem się co jest grane dopiero jak pod nogami zachrząściło szkło z rozbitej szyby. Wyszedłem z budynku bez problemów ale puścił się za mną w pogoń jakiś cywil. Udało mi się go zgubić i przejechać w piwnicznych zakamarkach posesji znajomego mechanika. Posiedziałem tam godzinę i wróciłem już jako zwykły przechodzień z powrotem pod Zarząd Regionu. Spotkałem tam Staszka, którego nazwiska już dzisiaj nie pamiętam, a to właśnie od niego dowiedziałem się, że właśnie wybuchł stan wojenny. Były tam jeszcze dwie osoby, w tym jedna kobieta i razem postanowiliśmy chodzić po mieszkaniach i ostrzegać przed aresztowaniami. Ustaliśmy po kilka adresów, lecz niestety wszędzie, gdzie docierałem oni już byli wcześniej. W międzyczasie zaszedłem też na naszą plebanię. Myślałem sobie: Oczywiście w potrzebie, może by kościół otworzyć, w dzwony zagrznieć itp.? Dzwonię więc przez domofon do księdza i mówię szybko co się dzieje. A ten ksiądz odpowiada: idź synu spać. Bardzo mnie wtedy ten ksiądz zdziwił, ale nie posłuchałem i robiłem swoje. Do domu wróciłem tej samej nocy, tylko po to żeby zabrać jakieś rzeczy. Przeprowadziłem się do ciotki swojej żony i przesiedziałem tam dwa albo trzy tygodnie. Miałem kontakt z siostrą i dowadywałem się czy aby przypadkiem po mnie nie wstąpiłi, a jako, że nie się nie działo, wróciłem do domu. Zjawili się niemal natychmiast, bo następnego ranka zwinęli mnie i zaliczyłem 48 godzin. Mogę powiedzieć, że był to mój prawdziwy pierwszy raz bo nim nastąpiło jeszcze wiele kolejnych dołków. Nie chcieli żebym podpisywał jakąś lojalnkę, nie przesłuchiwali zbytnio. Zapewne zajęci byli ważniejszymi, więc tylko przypomniałi o rygorach stanu wojennego i puścili do domu. Moja Grupa Działania na samym początku stanu wojennego poszła w rozpyskę. Co prawda już w styczniu malowaliśmy „Kotwice”, ale niewiulu z aktywnych przed 13 grudnia brało w tym udział. Pozostali wymiękli i ja to dobrze rozumiałem. Ja sam zacząłem działać w konspiracji. Zostałem przedstawicielem KPN w czymś w rodzaju komitetu porozumiewawczego organizacji opozycyjnych. Składał się on z działaczy, którzy uchronili się przed informowaniem i co ciekawe oni byli w tych okolicznościach bardziej niż poprzednicy skłonni rozmawiać i współpracować z KPN. Ta nasza działalność polegała głównie na kolportażu prasy. Mieliliśmy kontakt z Wrocławiem, przekazywaliśmy oświadczenia władz podziemnych, publikowaliśmy komunikaty. W Jeleniej Górze tuż po wprowadzeniu stanu wojennego władze bardzo szybko spacyfikowały próby zorganizowanego oporu. Pozamykano wielu ludzi i to co robiliśmy, było tak naprawdę dawaniem oznak zycia. Mój udział w tym przedsięwzięciu trwał do wpadki. Esbecja zrobiła rewizję u członka grupy, szefa Solidarności w jednym z jeleniogórskich zakładów, a jednocześnie naszego pośrednika w kontaktach z Wrocławiem. Poszła informacja, że człowiek siedzi, a jako, że znaleźli u niego w domu nie tylko gotowe druki, ale i gotowe matryce do drukowania na miejscu groziła mi wysoka kara. Czym innym było tylko przechowywanie godzących w ustrój ulotek, a czym innym ich produkowanie. Sporządziłiśmy identyczne matryce, wydrukowaliśmy i puściliśmy na miasto spora ilość tych ulotek z zamiarem wybronienia człowieka od powaznych w świetle ówczesnego prawa zarzutów. Nasz trud okazał się próżnym bo ten gość sam sobie poradził wysypując wszystkich. Opowiedział im wszystko o działalności grupy, kontaktach, współpracownikach. Zwinęli mnie, postawili zarzuty z par. 46 dekretu o stanie wojennym, a po wizycie u prokuratora znalazłem się w areszcie śledczym. Chwilę wcześniej urodziła mi się córka i tylko dzięki poręczeniu ojca wypuścili mnie na chrczyn. W areszcie przesiedziałem półtora miesiąca, a później jako internowany na milicyjnym dołku, gdzie podciąłem sobie żyły. Po tym nie zamykali mnie już na dłużej niż 48 godzin, ale ten dwudniowy pobyt na komendzie miałem nieprzyjemność odbywać prawie przed każdym narodowym świętem i rocznicą. Byłem już całkowicie spalony dla działalności opozycyjnej, zwłaszcza w tak niedużym mieście jak Jelenia Góra. Dla esbeków stałem się odtąd panem Zbyszkciem. Ale bynajmniej nie dali mi spokoju, miewałem kłopoty podobnie jak wielu innych, więc nie ma co się tu nad nimi rozprowadzić. Postanowiłem zaprzestać działalności. I chociaż oczywiście utrzymywałem kontakty z osobami zaangażowanymi w opozycję, to jednak bardziej na gruncie towarzyskim, a moja aktywność polegała jedynie na uczestniczeniu w manifestacjach.

W 29 kwietnia 1988 roku przyjechałem do Krakowa w jak najbardziej, z punktu widzenie panującego ustroju, niewinnym celu jakim było podjęcie pracy, a ponieważ TV i rozgłośnie informowały o strajku w Kombinate, z ciekawości pojechałem 1 maja z koleżanką i kolegą pod hutę. Nie wiedziałem nic o manifestacji, a tak się jakoś złożyło, że po tym jak grzeszny oficer milicji zaprosił nas do suki, to po wylegitymowaniu, gdy się okazało, że jesteśmy z Jeleniej Góry zwinęli nas na dółek przy ulicy Migockiej. Zanim trafiliśmy do cel zgromadzili nas w takiej dużej auli i tam poznałem „ze słyszenia” Ryszarda Bociana. Pobyt w celi wspominać miłe, bo poznałem w niej człowieka z nowohuckiej Federacji Młodzieży Walczącej, tego samego, który duzo później podkładał butlę gazową pod nogi Lenina, kiedy w Nowej Hucie odbywały się demonstracje o zlikwidowanie pomnika wodza rewolucji. Przypuszczam, że chyba dlatego, że przybyłem z tak daleka, z tego dołka wypuścili mnie jako jednego z ostatnich, a na sam koniec jeszcze jakiś esbek próbował mnie przesłuchiwać. Dwa dni później był Trzeci Maj na Wawelu. Wypatrzyłem chłopaków z opaskami KPN na rękawach, poszedłem do najbardziej charakterystycznego z nich i w ten sposób podpisałem z nimi Pawła Sabudę. Bardzo szybko się porozumieliśmy, dostąłem od Pawła namiary na szefa Krakowskiego Obszaru Konfederacji – Zygmunta Lenyka i chyba nawet nazajutrz poszedłem na ulicę Zakątek do mieszkania Zygmunta. Opowiedziałem mu o swojej działalności na początku lat osiemdziesiątych, a ponieważ zamieszkałem w Krakowie na stałe on przydzielił mnie do Organizacji Studenckiej KPN. Uczestniczyłem we wszystkich akcjach firmowanych przez KPN w Krakowie, chodziłem na spotkania w podziemiach Kościoła p.Św.Józefa na Rynku Podgórskim. Pamiętam też spotkanie z Leszkiem Moczulskim, które odbyło się w mieszkaniu Przemka Markiewicza. Nie przypominam sobie dokładnie większej aktywności KPN w czasie obrad Okrągłego Stołu, na pewno w tym czasie szykowaliśmy się do udziału w wyborach. Natomiast doskonale pamiętam to co się działo w tym czasie na krakowskich ulicach. Pomimo nieformalnego zakazu uczestniczenia w wczesnowiosennych zadymach, nie tylko ja, ale i większość młodych ludzi z KPN bardzo chętnie uczestniczyła w manifestacjach organizowanych przez WiP i NZS. Zazwyczaj przerażali się one w długotrwałe zamieszki i prawdziwe bitwy uliczne. Zresztą tak samo było z naszymi manifestacjami.

Po kilku miesiącach pracy w prywaciarzy zatrudniłem się w „Opakomecie” i tam udało mi się zwerbować kilka osób do KPN. Jednym z nich był Wojtek, jego nazwiska z pewnych względów nie przytoczę, ale był to bardzo radykalny młody człowiek. Do tego stopnia radykalny, że podczas jakiejś wiosennej zadymy pod sowieckim konsulem, chciał ukatrupić siekierą zomowca, który nieszcześnieście zapędził się za bardzo w naszą stronę. Pamiętam, że tego zomowca wywabili z opresji Maciej Gawlikowski. Później mnóstwo czasu zabierała nam kampania wyborcza Leszka Moczulskiego w Krakowie. Podczas samych wyborów byłem mężem zaufania w komisji wyborczej mieszkującej się w liceum na ulicy Dygańskiego. Z tego co później słyszałem w tej mojej komisji najpóźniej z wszystkich w Krakowie zakończono liczenie głosów. Być może nieskromnie to zabrzmi, ale to właśnie ja postarałem się o taką dokładność. Tamten czas wspominałem najmliej z całego okresu mojej działalności w KPN, może dlatego, że w ludziach pełno było zapaku, bezinteresowności i entuzjazmu. Pamiętam jakie wrażenie wśród krakowian i turystów wywoływał wystawiony na Rynku Głównym nasz stolik z książkami, prasą, plakatami i znaczkami. Jego prawdziwym przeobrażeniem stały się znaczki „Sowieci do domu” i „Lepszy martwy niż czerwony” produkowane przez Grzeska Hajdarowicza. Poza propagowaniem programu Konfederacji stolik ten pełnił też funkcje punktu werbunkowego. Ja sam podczas swoich dyżurów przy nim zapisałem do KPN mnóstwo ludzi, między innymi obecnego przewodniczącego reaktywowanego KPN-u. Kolejnym wartym wspomnienia epizodem były nasze wypadki do Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie mieściła się najbliższa baza sowiecka. Ruscy żołdaci wcale nie byli do nas jakoś wrogo usposobieni, a jakiś oficer oprowadził nas nawet po tej całej jednostce. Jednak poza akcją „Sowieci do domu” zaangażowaliśmy się też w sprawę bardziej krajowe. Robiliśmy manifestacje przeciwko wyborowi Jaruzelskiego na prezydenta, a jesienią, już za rządów Mazowieckiego wojowaliśmy z pomnikiem Lenina w Nowej Hucie. Przyznam, że była to trochę samowolka, bo naszymu naczałstwu nie za bardzo podobał się nasz udział w zadymach. Prowadziłem wtedy grupę „Strzelca” i udział w manifestacjach uważaliśmy za dobrą zaprawę. Ale poza nimi odbywaliśmy normalne szkolenia, jak by to dzisiaj można powiedzieć - ogólno wojskowe. Teraz można już o tym mówić, więc w nawiązaniu do tych tematów wspomnę o naszych kontaktach z żołnierzami ówczesnego jeszcze Ludowego Wojska Polskiego. Byli oni bardzo, ale to bardzo napaleni na akcje bezpośrednie. Nie traktowalem ich jak prowokatorów, ale oferowali się z pomocą, która nie miała wiele wspólnego z metodami pokojowymi. Późną jesienią 1989 roku zostałem zastępcą szefa Kierownicwa Akcji Białejcej. Stało się to niemal przypadkiem, bo przyznam szczerze wcale nie nadaje się na pełnienie funkcji, zajmowanie stanowisk. Ostatnią większą akcją było zajęcie Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Była to najlepiej zorganizowana akcja, zresztą jedna z wielu podjętych równocześnie przez Konfederację w całej Polsce. Pamiętam wcześniejszą koncentrację w Pasażu Bielaka, kamuflowane podejście pod sam gmach i samo wejście. Ja byłem w grupie zabezpieczającej. Na samym początku rozeszliśmy się po całym budynku, obstawiliśmy wejścia, gdyż cały czas obawialiśmy się ataku ZOMO. Milicja pojawiła się prawie natychmiast, ale w niewielkiej ilości i jak zaczęli przychodzić posłowie OKP wiadomo już było, że nie będą komitetu odbijać. Atmosfera zrobiła się wtedy znacznie luźniejsza. Negocjacje prowadził Jurek Jajte-Pachota i Maciej Gawlikowski. Podpisano porozumienie i już późno w nocy opuściliśmy Komitet przekonani o odniesionym sukcesie. Jak się okazało czerwoni tydzień później sprzedali ten budynek państwowemu bankowi, więc ten nasz sukces nie był wcale taki oczywisty. Ale zachowałem z tego wydarzenia pamiętkę – czerwoną legitymację członka PZPR. Później były jeszcze marsze na konsulat sowiecki, ale nie były to wydarzenia o takiej skali jak wcześniej. Moja działalność w KPN ograniczała się, gdyż i sam KPN ograniczał swoje działanie. Byłem jeszcze na warszawskim kongresie, ale przyznam szczerze dostrzegałem rzeczy, które mnie zniechęcały, a o których nie wypada mi dzisiaj nawet wspominać. Pomimo posiadania sporej reprezentacji parlamentarnej Konfederacja wiodła. A co mnie bardzo gorszyło, zaczęło w niej dochodzić do zenującego podziałów. Podczas, gdy wystąpienia Ryska Bociana nie traktowałem poważnie, to rozłam dokonany przez Adama Słomkę bardzo mnie, delikatnie ujmując, zirytował. Oczywiście utrzymywałem kontakty z ludźmi poznaczonymi w trakcie działalności w Konfederacji, z niektórymi z nich zaangażowałem się w Lidze Republikańskiej, ale przestałem uczestniczyć w nawet rocznicowych spotkaniach. Oczywiście wciąż jestem wierny ideałom Niepodległościowym i zapewne, gdyby raz jeszcze zaszła potrzeba, zaciągnąłbym się pod sztandar KPN-u, ale teraz nie widzę takiej potrzeby. Nie czuję się spełniony i chociaż odzyskaliśmy Niepodległość nie jest ona taka jaką sobie wtedy wyśniłiśmy. Nie jest taka o jakiej wtedy rozmawialiśmy. To smutna konstatacja i wolałbym zakończyć weselszą puentą.